



# ANDHEIM

ALICJA BUREK



Kiedy ognista włócznia mistrza zakonu paladynów przebiła dumną pierś królowej elfów, wszyscy wstrzymali oddech. Czyżby krwawa wojna między królestwami Andarolnu i Ithrandilu właśnie dobiegła końca? Ci, którym miłościwy bóg Anedothon pozwolił wrócić do domów, nie zaznają jednak spokoju. Tym razem za przeciwnika mają nieprzejednane siły natury i niezaspokojone żądze duchów z przeszłości, które powróciły, by siać zamęt. Czy karkołomna wyprawa do krainy elfów przyniesie spodziewaną pomoc? Po której stronie opowie się młody książę Andor? Czy losy cesarskiej córki są już przesądzone, czy może zdoła dzięki swej magii ognia oszukać własne przeznaczenie? Jak odnaleźć tajemniczy zakon berserkerów? Wszystko to rozstrzygnie się na kartach tej epickiej opowieści, która stanowi początek niezwyklej sagi *Upadek Anioła* – pełnej magii, intryg i bohaterów walczących o przyszłość swojego świata.



**Alicja Burek** – urodzona w 1999 r. w Zielonej Górze polska powieściopisarka. Tworzy epicką literaturę fantasy w nowoczesnej, odświeżonej formie. Z zawodu ekonomistka i certyfikowana główna księgowia.

  
Sorus

PRZEJDŹ  
do księgarni online:  
[www.sorus.pl](http://www.sorus.pl)

## **Saga „Upadku Anioła”**

*Andheim*

*Mendheim*

*Vendheim*

*Unkheim*

# ANDHEIM

ALICJA BUREK



Redaktor prowadzący  
Wojciech Nowakowski

Redakcja  
Elwira Zapałowska

Korekta  
Magdalena Chrobok

Projekt okładki  
Robert Jarocki

Skład  
Anna Basista

Copyright © by Alicja Burek 2024  
Copyright © by Sorus 2024

Wydanie I, Poznań 2024

ISBN 978-83-67139-98-4 książka  
ISBN 978-83-67139-99-1 e-book

**Wydaj z nami swoją książkę!**

[www.sorus.pl/dlaautorow](http://www.sorus.pl/dlaautorow)

**Wydawnictwo Sorus**

Księgarnia internetowa: [www.sorus.pl](http://www.sorus.pl)

**Przygotowanie, druk i dystrybucja**

DM Sorus sp. z o.o.

ul. Bóźnicza 15/6, 61-751 Poznań

tel. +48 61 653 01 43

[sorus@sorus.pl](mailto:sorus@sorus.pl)

Printed in Poland

## PROLOG

# Bitwa pod Lirą

Ziemię na północny wschód od miasta Lira. Rozegrała się tam wielka bitwa. Walczyły ze sobą Królestwo Andarolnu i Królestwo Ithrandilu. Ludzie przeciwko Wysokim Elfom.

Po wysuszonej, zdeptanej trawie nacierały na siebie dwie armie. W południowym słońcu bezchmurnego andarolneńskiego lata. Ludzcy żołnierze pod sztandarem złotego miecza skrzyżowanego z błyskawicą w koronnym herbie próbowali utrzymać szyk. Uzbrojeni w miecze, tarcze i kolczugi, odpierali frontalny atak srebrnoskórych elfów, które nosiły szmaragdowe pancerze wyglądające, jakby były zrobione z oszlifowanego kamienia. Ludzie przypominali przy nich przypadkową zbieraninę. Nie mieli takiego rynsztunku, a niektórzy w ogóle nie nosili zbroi.

W dodatku elfy posiadały straszną broń. To enty, które przedzierały się przez szyki bojowe, nie zważając na wszelki opór. Drzewa hodowane, aby stać się bezlitosnymi machinami napędzanymi magią, nieczującymi bólu i nieznanymi litości. Na czas walki przybierały humanoidalną formę. Ramiona z korzeniami zamiast palców łapały i rozrywały ludzi na strzępy. Andarolneńczycy znali tylko dwa sposoby, by je pokonać, albo przy pomocy magii, albo ognia. W tym pierwszym potrzebny był silny mag, a to w przypadku ludzi, którzy nie znali magii tak jak elfy, było wielkim problemem. W drugim należało zasypać enta tak dużą liczbą ognistych strzał,

że zaczynał się palić. A ukryty w koronie drzewa kontrolujący go elf płonął żywcem. Z tego względu trzymani za piechotę łucznicy byli ważni, wspierali walczących z przodu żołnierzy.

Andaroln słynął z kawalerii, ta jednak na nic się zdawała przeciwko entom. Konie były się ruchomych drzew. Z wyjątkiem opancerzonych rumaków, których dosiadali paladyni. One nie lękały się nawet błyskawicy, będąc pod wodzą nieustraszonych jeźdźców. Ci ruszyli do boju w pełnych płytowych zbrojach w kolorze srebra, składających się z przyłbic, naramienników, napierśników, rękawic i nagolenników. W niebieskich tabardach z białą błyskawicą w kole na piersi. Uzbrojeni w długie kopie i trójkątne dwukolorowe tarcze. Okrążyli elfią armię i runęli na nią w szarzy otoczeni aurą błyskawic, która razila wrogów w najdalszym zasięgu.

Wśród żołnierzy Andarolnu walczących na prawej flance był Wyndelf. Ten dwudziestokilkuletni andarolneński kapitan walczył w pierwszym rzędzie swoim dwuręcznym bękarciem mieczem. Był barczystym, wysokim mężczyzną o pociągłej twarzy, niskim czole, dużym, lekko zakrzywionym nosie i wąskich ustach. Miał jasną cerę, zielone oczy o surowym spojrzeniu, rozwichrzone ciemnobrązowe włosy, długie do ramion. Powagi dodawała mu krótka broda. Nosił stalową kolczugę zarzuconą na skórzaną kamizelkę, proste płócienne czarne spodnie i wysokie skórzane buty.

To nie była jego pierwsza bitwa. Pamiętał słowa szkolącego go i innych poborowych rycerza: „Elfy znają magię i są sprytnie, zmęczcie je, by pokonać”. Tak właśnie robił, nawiązywał walkę na miecze. Zmuszał elfa szybkimi zamachami do parowania i wreszcie go wykańczał.

Wokół rozpełtało się piekło. Rozlegały się krzyki rannych i jęki konających. Gdzie okiem sięgnąć, morze walczących. Andarolneńczycy mieli przewagę liczebną. W tej bitwie walczyła największa



w historii Andarolnu sześćdziesiąt tysięcy elfów było zaledwie dwadzieścia pięć tysięcy.

Na pobliskim wzgórzu bitwę obserwowała z końskiego grzbietu królowa elfów, dowodząc i miotając przerażające zaklęcia. Kule ognia rozmiarów wielkich kotłów trafiały w andarolneńskich żołnierzy niczym ogromne głazy. Ekspłodowały, zabijając lub dotkliwie parząc tych, którym się poszczęściło i przeżyli starcie z jej piechotą. Wyndelf cały czas modlił się w duchu do Anedothona, by któraś przypadkiem go nie trafiła. Nie wiedział, ilu elfów już pokonał. Był lepszym od nich szermierzem, ale gdy któryś władał magią, Wyndelf mógł tylko jej unikać i czekać, aż wyczerpie się magiczna energia przeciwnika albo dosięgnie go sojusznicza strzała.

Wpadł na niego kolejny. Uzbrojony w zakrzywiony miecz i tarczę. Obydwie ręce zajęte. To oznaczało, że nie ma możliwości czarowania. Na nic się jednak zdało to pocieszenie, gdy na zakrzywionym ostrzu przeciwnika zapłonął ogień. Pod przyłbicą świeciły żółte ślepie. Ruszył do przodu. Andarolneńczyk był w stanie tylko parować uderzenia. W krótkiej wymianie ciosów wyczuł okazję. Odskoczył do tyłu i wykorzystując zasięg wielkiego miecza, wycelował w niezasłoniętą tarczę nogi. Podciął przeciwnika. Ten wypuścił broń z ręki, a Wyndelf go dobił następnym uderzeniem.

Rozejrzał się wokół i zdał sobie sprawę z tego, że jest sam. Na szczęście wrogów na prawej flance też nie zostało wielu. Trzech elfów zgromadziło się wokół elfki. Osłaniali ją, najwyraźniej była ich dowódcą. Zmęczona, musiała usiąść. Pozostali wyciągnęli broń i ruszyli w kierunku Wyndelfa. Każdy z zakrzywionym krótkim ostrzem w jednej ręce. Druga pozostawała pusta. Czyżby znali magię? Otoczyli go. Już mieli zaatakować jednocześnie, nie dając Wyndelfowi żadnych szans, gdy ten ruszył do przodu i pewnym pchnięciem miecza powalił pierwszego elfa. Drugi podbiegł



do niego, ale miał za mały zasięg. Długi bękarci miecz przeciął jęgo elfi pancerz. Trzeci napastnik wyraźnie się zawahał. Uciekł.

Został sam na sam ze zmęczoną elfką. Wstała, opierając się na długim zakrzywionym mieczu. Zza zasłony hełmu świeciły żółte, jak u nich wszystkich, ślepie. Była wysoka, dorównywała mu wzrostem, a przecież on do niskich nie należał. Uniosła ostrze i ruszyła na niego. Stał gotowy, aby wykonać zamach. Ona jednak się zatrzymała jak wryta. Skierowała dłoń na dół. Z ziemi pod nim gwałtownie wyrosły korzenie i go oplotły. Próbował się wyrwać. Ona się zbliżała. Sięgnął do pasa po nóż. Przeciął część więzów. Uwolnił miecz i paroma cięciami się wyswobodził całkowicie. Ruszył na nią. Uniosła ostrze. Pierwszy cios sparowała, drugi również. Cofała się. Zamachnął się po raz trzeci. Elfka jednak potknęła się o zwłoki któregoś z towarzyszy, upadła na bok, unikając tym samym ciosu. Hełm z elfiego metalu spadł z jej głowy, a Wyndelfowi ukazała się twarz przeciwniczki, piękna, okrągła, o wydatnych kościach policzkowych. Już miał ją dobić, ale się zawahał.

Przyjrzał się jej dobrze. Była młoda jak to elf. Widział w jej dużych żółtych oczach strach. Czoło miała gładkie, usta ciemne i szerokie. Włosy bujne do ramion o kolorze jasnej wyschniętej zieleni. Andarolneńczykowi odebrało mowę. Nigdy nie widział kogoś tak pięknego. Stał nad nią z uniesionym dwuręcznym mieczem. Wpatrywali się tak w siebie przez chwilę.

Elfka zaczęła się powoli podnosić z ziemi, nie wykonując gwałtownych ruchów. Zrobiła dwa kroki w tył, odwróciła się i uciekła w stronę lasu. Wyndelf jeszcze chwilę za nią patrzył, po czym się otrząsnął. Spojrzał na wzgórze. Mógł się stać łatwym celem. Był sam na prawej flance. Jednak królowa elfów miała inne zmartwienie.

Jechało w jej kierunku pięciu paladynów, by rzucić jej wyzwanie. W środku Wielki Mistrz Zakonu Thelarix. Sześćdziesięcioparoletni

mężczyzna średniego wzrostu. Chudy, o pociągłej twarzy, wysokim czole, wydatnym nosie, wąskich ustach i zmierzwionych siwych włosach. Jego duże niebieskie oczy patrzyły z surowością i gniewem. Twarz pokrywał delikatny zarost. Uzbrojony był tak jak reszta paladynów, ale jako jedyny odsłonił przyłbicę.

Jechał na spotkanie królowej elfów. Ta oczekiwała go, siedząc na koniu, w towarzystwie swojej straży przybocznej, i mierzyła zbliżających się chłodnym spojrzeniem. Nosila szmaragdową zbroję, tak jak inne elfy. Na głowie jednak zamiast hełmu miała złotą koronę wysadzaną rubinami. Była piękna, lecz jej twarz spowijał chłód. Miała srebrną elfią skórę i pomarańczowo lśniące oczy.

– A więc ludzie wysłali swojego najlepszego wojownika... siwego starca? – zapytała z pogardą.

– Nie bądź zbyt pewna siebie, elfia więdźmo – odpowiedział jej Thelarix i skierował kopię ku górze.

Z bezchmurnego nieba runęła błyskawica i uderzyła w grot kopii. Za chwilę kolejne błyskawice otoczyły paladyna w szalonym tańcu. Było ich pięciu na pięciu. Towarzyszący mistrzowi zakonu paladyni ruszyli na strażników przybocznych królowej. Ci drudzy próbowali wezwać korzenie drzew, by się obronić, ale bezskutecznie. Królowa była zdumiona, jak szybko rozprawiono się z jej gwardią. Uśmiechnęła się jednak, gdy stało się jasne, że paladyni nie będą ingerować w jej pojedynek ze starcem. Stanęli po bokach, uważnie się przyglądając. Elfka paroma ruchami dłoni stworzyła włócznie z ognia i ruszyła na Thelarixa. Ten, nie zwlekając, skierował na nią kopię. Starli się. Ognista włócznia pękła w zderzeniu z płytowym pancerzem, który otaczały błyskawice. Kopia zaś przebiła pierś królowej na wylot. Bezwładne ciało elfki zawisło na broni drzewcowej. Jej martwe otwarte oczy zastygły z wyrazem zaskoczenia.

Elfy na widok klęski królowej złamały się i ruszyły do odwrotu na wschód. Thelarix puścił kopię. Zsiadł z konia i przyjrzał się koronie, tkwiącej ciągle na głowie martwej królowej. Wziął ją do ręki. Wyczuł w niej niewyobrażalną magiczną moc.

To potężny artefakt. Jak to możliwe, że ktoś dysponujący taką mocą dał się tak łatwo pokonać? – pomyślał.

Wsiadł ze zdobyczą z powrotem na konia. I zjechał ze wzgórza. Spojrzał na mężczyznę opierającego się na długim dwuręcznym mieczu. Wokół niego słały się trupy kilkunastu elfów. Thelarix był zdumiony. Podjechał do niego. Nieopodał panowała wrzawa.

– Żołnierze, zbierzcie się tutaj – zawołał głośno Thelarix.

Andarolneńczycy zaczęli się gromadzić. Niezliczona liczba oczu patrzyła teraz na Wyndelfa.

– Jak się nazywasz, chłopcze? – zapytał cicho mistrz zakonu.

– Wyndelf Tarronghill – odpowiedział mężczyzna.

Wtedy dowódca paladynów przemówił głośno do wszystkich:

– Ten tutaj Wyndelf Tarronghill jest dzielnym wojownikiem, niestrudzenie dziś walczył za nas i za cały Andaroln. Należy mu się chwała, od tej pory będzie znany jako Berserker spod Liry.

Rozległy się wiwaty i oklaski. Wyndelf był zaskoczony. Po chwili tłum się rozstąpił. Na pięknym srebrnym koniu wjechał człowiek, którego znali wszyscy. Król Killrog. Czterdziestokilkuletni mężczyzna, średniego wzrostu, masywny, o szerokich ramionach, poważnej przystojnej twarzy, niskim czole, małym nosie, niebieskich oczach, kilkudniowym zarostem i krótkich brązowych włosach. Miał na sobie płytową zbroję ze złotym herbem Andarolnu na piersi i zarzuconą niebieską pelerynę ze złotymi obszyciami. Jego głowę zdobiła złota korona wysadzana szafirami.

Gdy podjechał do zgromadzonych rycerzy, Wyndelf uklęknął na jedno kolano. Thelarix zsiadł z konia i zrobił to samo. Pozostali poszli w ich ślady.

– Wielki to dzień – zaczął Killrog. – Pokonaliśmy największą dotąd armię elfów, dziś odbiliśmy Lire, a wkrótce odbijemy resztę należących do nas ziem, nie spoczniemy, póki nie przegonimy stąd plugawych elfów! – powiedział głośno, a tłum wiwatował.

Thelarix pokazał mu koronę. Król wziął ją i uniósł wysoko.

– Mamy koronę elfickiej królowej, ich koniec jest bliski!

## ROZDZIAŁ I

# Audiencja czarnoksiężnika

W sali tronowej w Lakeshire, w Królestwie Andarolnu, król Killrog prowadził rozmowy z doradcami. W kraju, podobnie jak w całym Andheimie, panowała susza. Trudnej sytuacji nie poprawiło niedawne zakończenie wojny z Królestwem Ithrandilu, przez którą Andaroln był wyraźnie osłabiony. Król Killrog, myśląc, że elfy łatwo mu ulegną, dość szybko przekonał się o sile tych istot. Konflikt zakończył się „remisem” i oba kraje wróciły do granic sprzed wojny. Z tym że zarówno elfy, jak i ludzie zaczęli budować twierdze po obu stronach przełęczy, będącej jedynym sposobem na pokonanie górskiej Osi Kontynentalnej, dzielącej światy Andheimu i Mendheimu. Strome góry, których nikt nigdy nie pokonał. W ten sposób obie strony zamierzały się zabezpieczyć na przyszłość. Za ledwie kilka miesięcy po wojnie rozpoczął się nowy kryzys.

Czwórka doradców próbowała mu zaradzić.

– Panie ... – zabrał głos zarządca Tyskał, odpowiedzialny za królewski skarbiec. Był niskim człowiekiem o krótkich czarnych włosach i niepewnym spojrzeniu. – Skarbiec nie wytrzyma rekompensat, jakich lordowie miast żądają w zamian za poniesione straty w wojnie – dodał.

Król Killrog siedział na tronie w pięknym kubraku obszytym futrem, na ramiona zarzucił niebieską pelerynę obszytą złotem. Trudno było wyczytać coś z jego zamyszonego spojrzenia.



– Czy to nie twoim zadaniem jest zdobywanie funduszy, Tyska-  
lu? – zapytał wreszcie, marszcząc brwi.

– Tak, Wasza Wysokość, ale nie jesteśmy w stanie tak szybko  
zapełnić skarbcza – odpowiedział lord.

– Wasza Wysokość, czy mogę zabrać głos? – odezwał się sir  
Caralion. Sześćdziesięcipoletni lord, będący doradcą wojsko-  
wym i dowódcą straży królewskiej. Twarz miał strudzoną, oczy  
niebieskie. Na głowie pośród siwych włosów prześwitywała łysina.  
Miał na sobie zbroję płytową w srebrnym kolorze i niebieski tabard  
z herbem paladynów na piersi.

– Już zabrałeś, Caralionie, co chcesz nam jeszcze powiedzieć?  
– Zniecierpliwiał się Killrog.

– Wielu lordów postrzegą królestwo jako sojusz obronny,  
nie zgadzali się na atak na Ithrandil, poświęcili sporo i oczekują  
rekompensaty. Jeśli im jej nie damy, to może to doprowadzić do  
destabilizacji i wystawić lojalność lordów na próbę – powiedział.

– Wiąże ich przysięga – oznajmił król.

Wtedy otworzyły się drzwi. Stał w nich mężczyzna w czarnej  
szacie z kapturem na głowie. Wszedł do sali.

– Królu Killrogu ... – zawołał głośno, tak że jego słowa roznio-  
sły się po wielkiej sali z wyszlifowanego do gładkości kamienia.  
Szedł w stronę kamiennego tronu po niebieskim dywanie ze  
złotymi krawędziami. Za tronem wisiał wielki sztandar z kró-  
lewskim herbem, na którym widniał złoty miecz skrzyżowany  
z błyskawicą.

– Kim jest ten intruz i dlaczego się go jeszcze nie pozbyliście?  
– zapytał król dwójki strażników stojących przy schodach do tronu.

Gwardziści unieśli miecze i nastawili okrągłe tarcze, po czym  
ruszyli na śmiałka. Mieli na sobie pełne stalowe płytowe zbroje  
i byli odpowiednio wyszkoleni. Nie będą łatwymi przeciwnikami.

– Poddaj się! – ryknął pierwszy z nich.

Intruz uniósł ręce i rozłożył je szeroko. Dwóch strażników oderwało się od ziemi i uderzyło z hukiem w kamienne kolumny. Jakby rzuciła nimi niewidzialna siła.

Obecny na sali królewski magiczny doradca Hiltarion był zdumiony umiejętnościami telekinetycznymi przybysza. Zastanawiał się, jak potężnym magiem musiał być nieznajomy. Gwardziści po zderzeniu z kolumnami już nie wstali.

Ich pogromca podszedł kilka kroków do przodu.

– Czy zasłużyłem na audiencji, królu? – zapytał.

– Niech ci będzie... powiedz, czego chcesz – odparł niechętnie Killrog.

Nowo przybyły ściągnął kaptur. Oczom zgromadzonych ukazała się kwadratowa twarz Andarolneńczyka w średnim wieku, czoło miał wysokie, nos duży i zakrzywiony, usta blade, krótkie siwe włosy i szeroko rozstawione piwne oczy.

– Może to wieśniaków powinno się obarczyć obowiązkiem dostarczania żywności, a lordowie niech znają swoje miejsce i nie podważają decyzji króla w dobie kryzysu. W końcu król jest królem nie tylko w oczach ludzi, ale i Anedothona – oznajmił hardo przybysz.

Odpowiedział mu krępy, łysy sir Jurand o rudej, koziej bródce, lord odpowiedzialny za prawo i kontakty z ludnością.

– Jak zamierzasz rozliczyć wieśniaków? Nie za wiele mają. Co chcesz im zabrać? Panowanie lordów nad ich miastami jest starsze niż królestwo. Miasta i autonomia nie należą do nich z łaski króla...

– Może powinni poznać, co to strach... – rzekł intruz.

Sir Jurand zwrócił się teraz do króla:

– Wasza Wysokość, odpowiedzi tego człowieka są niedorzeczne, nawet nie wiemy, kim jest, a narzuca tu jakieś wyssane z palca warunki.

Król westchnął.

– Może nam się przedstawiś? – zaproponował nieznanemu.  
Ten uklonił się.

– Mam wiele imion, choć znany przede wszystkim jestem z jednego, zwą mnie czarnoksiężnikiem Tesalionem.

Mag Hiltarion parsknął śmiechem. Był czterdziestoletnim mężczyzną o długich blond włosach i niebieskich oczach, nosił błękitną szatę maga i kostur z poskręcanych gałęzi pochodzących z prastarych zagajników.

– To, co dziś pokazałeś, niewątpliwie świadczy, że jesteś potężnym magiem – zaczął. – Ale zdajesz sobie sprawę z tego, że czarnoksiężnik Tesalion to mit sprzed ponad dwustu lat? Jesteś człowiekiem i czarnoksiężnik też nim był, to macie wspólne, ludzie nie są nieśmiertelni, nie żyją dwustu lat jak elfy – dodał.

– Mogę to udowodnić – odpowiedział podający się za czarnoksiężnika mężczyzna.

– Niby jak chcesz to udowodnić? – zapytał z pogardą Hiltarion.

– Jeśli nie jestem czarnoksiężnikiem, to powinienes, panie, pokonać mnie bez trudu – zwrócił się do niego przybysz.

– Wystarczy. To zaszło za daleko. – Król uderzył pięścią w podłokietnik tronu. – Sir Caralionie, wyprowadź nieproszonego gościa, nie tak prosi się o audiencję u króla – rozkazał.

Dowódca straży wyciągnął stalowy długi miecz i ruszył w kierunku intruza. Otoczył się aurą błyskawic, tak że po jego ostrzu skakały małe pioruny.

– Poddaj się – polecił sir Caralion. Widząc, że przybysz nie ma takiego zamiaru, ruszył na niego. Zamachnął się. Przeciwnik rozłożył ręce tak jak poprzednio, ale w ostatnim momencie odskoczył w bok, unikając ataku paladyna. W lekkiej szacie łatwo mu było uciec przed wojownikiem odzianym w ciężką zbroję. Unikał ataków, wyciągając go poza dywan. W końcu znużony sir Caralion stworzył w wolnej ręce piorun kulisty i wystrzelił

w przeciwnika. Ten w jednej chwili uniósł dłonie i z podłogi przed nim wyskoczyły kamienne bloki, dając odpór zaklęciu, po czym opadły z hukiem. Dowódca straży ruszył do przodu i nagle... się poślizgnął. Nie wiedział, czemu cała kamienna podłoga była mokra. Miał stalowe gładkie nagolenniki. Nawet nie zauważył, gdy stracił równowagę. Gdy upadł, mag ponownie uniósł ręce i przy pomocy telekinezy rzucił nim przed siebie. Sir Caralion odbił się od kolumny i z hukiem poleciał na ziemię.

– Wygląda na to, że wygrałem, Wasza Wysokość – powiedział mag w czarnej szacie. I podszedł w kierunku tronu.

– Wezwać straż, a ty, Tyskału, pójdz po mój miecz. Osobiście się nim zajmę – rozkazał król i wstał.

Intruz znów zaczął mówić:

– Nie będzie takiej potrzeby, królu. Chciałbym ci bowiem służyć radą. Nie powinieneś słuchać takich słabeuszy, którzy nie są silni w magii ani w walce, a nawet nie mają odwagi, by powiedzieć ci, co trzeba zrobić, bo boją się twojej reakcji. Jeśli mnie nie wysłuchasz, to królestwo upadnie.

– Niech ci będzie. Co takiego trzeba zrobić? – zapytał król.

– W kwestii wieśniaków trzeba wprowadzić normy produkcji żywności, pod rygorem kar. Muszą się bać, jeżeli ma to przynieść efekt. W kwestii lordów... jesteś królem, zaprosz ich na oficjalną ucztę i przekaz, że nie spełnisz ich żądań. Przysięgali ci wierność, a przysięga powinna coś znaczyć. Nie zgodzę się z twoim doradcą. Całe królestwo jest twoje. Znam magię, która wzmocni stal, która użyźni pola i która da siłę żołnierzom. Nikt nie będzie śmiał ci się przeciwstawić. Udowodniłem swoją siłę, daj mi szansę, Wasza Wysokość, a udowodnię również swoją lojalność i pokażę, do czego jestem zdolny – odpowiedział Tesalion i uklęknął.

Lord Tyskał wrócił z potężnym dwuręcznym mieczem. Przybysz bacznie przyglądał się królewskiemu ostrzu. Było niemalże

białe. Wyryto na nim litery w nieznanym mu języku. Rękojeść była jakby ze złota, któremu zabrano blask, to samo tyczyło się czerwonego kryształu w rękojeści. Miecz jakby stracił kolory. Jednak na pierwszy rzut oka widać było, że nie jest to zwyczajna broń.

– Nie będzie potrzebny – powiedział król. – Dam ci twoją szansę, Tesalione.



## ROZDZIAŁ II

# Miasto Lira

**B**ył poranek. Wokół lasy i łąki. Zaczynało się powoli lato. Minął zaledwie miesiąc od końca wojny. Czuć było rześkie andarolneńskie powietrze. Na kasztanowym koniu w otoczeniu świty lord Kylian Tarington przybył do Liry. Miasta, które przed kilkunastu laty należało jeszcze do Cesarstwa Sundarolnu. Następnie zostało przejęte przez Królestwo Andarolnu. A lordem sprawującym w nim władzę został Sylas Tarington. W trakcie wojny z Królestwem Ithrandilu dostało się w ręce elfów i przez lata było pod ich okupacją. Impas wywołany stratami po obydwu stronach przedłużył wojnę. Andarolneńczyków nie zadowoliliby pokój, jeśli choćby część ich terytorium pozostawałaby w rękach elfów.

Teraz, gdy granice wróciły do stanu sprzed wojny i nikt nic nie zyskał, Kylian wrócił do miasta, w którym spędził młodsze lata. Jego ojciec Sylas zginął na wojnie, Lira zatem należy teraz do niego. Był chudym dwudziestoparoletnim mężczyzną średniego wzrostu, o okrągłej twarzy, niskim czole, małym kartoflanym nosie, dużych odstających uszach, krótkich czarnych włosach i koziej bródce. Nosił na sobie prostą skórzaną kamizelkę, spodnie i wysokie buty. Patrzył na miasto radosnym spojrzeniem małych zielonych oczu.

Lirę otaczały wysokie mury obronne, które jednak czasy świetności miały już za sobą. Ziejące pustką dziury w opalonych magią ognia sundarolneńskich ceglach andarolneńscy kamieniarze

próbowali częściowo załatać zwykłymi kamieniami. Ale to nie wystarczyło. Brakowało im magii Sundarolneńczyków, która wzmocniła mury i pozwalała je wznosić na trzykrotnie większe wysokości niż andarolneńskie budowle.

Towarzyszem lorda był zarządca jego ojca sir Thalís. Pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna o krótkich blond włosach i zielonych oczach, z szerokim wąsem i małym zaokrąglonym nosem. W stalowej kolczudze i półhelmie.

– Sir Thalísie, zawsze byłeś wierny mojemu ojcu, ja jednak jestem zupełnie innym człowiekiem, czy będziesz mi wierny, nawet jeśli odwrócę do góry nogami spuściznę swego rodziciela i uczynię ją swoją? – zapytał młody lord.

– Będę, mój panie, podążał za tobą bez względu na twe przekonania, złożyłem przysięgę wobec ciebie, a wcześniej wobec twojego ojca Sylasa – odpowiedział mu sir Thalís.

Stanęli przed bramą wjazdową do miasta. Przypominała łuk. Nie było ani żelaznej brony, ani drewnianych wrót z zasuwami.

– Lordzie Taringtonie... – Ukłonił się strażnik, gdy zobaczył herb zająca na opończy zarzuconej na konia. – To przyjemność móc cię przywitać w Lirze.

– Pojadę od razu do pałacu, chciałbym podjąć swych doradców natychmiast – powiedział do strażnika i pojechał.

Mijali proste drewniane chaty. Część z nich była spalona, a część zmiądzona od kamieni z katapult, które przeleciały nad murem w trakcie szturmów. W tych, które ocalały, z kominów unosił się dym. Znaleźli się w północno-zachodniej części miasta, zamieszkiwanej głównie przez Andarolneńczyków i panowała tu andarolneńska zabudowa, a drogi były niewybrukowane. Mieszkańcy z ciekawością im się przyglądali.

Lira dzieliła się na cztery części i była drugim co do wielkości miastem w Andarolnie. Przedzielona przez krzyżujące się z sobą

w samym centrum rzeki Ilianę i Tascalę, która stanowiła swoistą granicę między Cesarstwem Sundarolnu i Królestwem Andarolnu. Pałac lordowski znajdował się w południowo-wschodniej części miasta. Tam zmierzał lord Tarington.

Gdy przekroczyli most, przywitała ich brukowana droga i charakterystyczne domy z opalonego magią ognia drewna. Sundarolneńska zabudowa, którą cechowały czarne jak smoła mury, z pięknymi dachami z glinianych dachówek i oknami ze szkła, a nie jedynie drewnianymi okiennicami na dziury w ścianach, jak to było w przypadku andarolneńskich domostw.

Teraz odprowadzające przybyłych spojrzenia ciekawości zmieniły się w pogardliwe. W mieście mieszkało dużo Sundarolneńczyków, którzy podważali przynależność Liry do Andarolnu. W dodatku przez nieco ciemniejszą karnację dawnych obywateli cesarstwa łatwo można było ich odróżnić od pozostałych mieszkańców. A to dawało jedynie dodatkowy powód do nienawiści.

W końcu Kylian i Thalís dotarli do pałacu. Piękna marmurowa budowla o strzelistych wieżach i wielkich czerwonych szklanych oknach. Dach pokrywały gliniane dachówki. Pałac otaczał trzy-metrowy marmurowy mur pełniący bardziej funkcję ogrodzenia niż obronną. Przy bramie wjazdowej stało dwóch strażników uzbrojonych we włócznie i okrągłe drewniane tarcze z herbem Królestwa Andarolnu. Ukłonili się na widok lorda.

Na dziedzińcu za bramą stajenni wzięli od nich konie. Już po chwili młody lord w towarzystwie Thalísa szedł po czerwonym dywanie ku tronowi, mijając rzędy marmurowych kolumn wielkiej sali audiencyjnej. Nawet tutaj było widać pieczołowitość i kunszt sundarolneńskich rzemieślników i architektów, jakby miał w tej sali zasiąść sam cesarz. Kylian usiadł na tronie. Za jego plecami wisiał wielki sztandar z białym zającem na niebieskim tle. Thalís stanął po jego prawicy nieco niżej przy schodach. Dwóch

gwardzistów strzegących tronu powitało nowego namiestnika głębokim ukłonem.

Wkrótce na wieść o przybyciu Kyliana zjawili się doradcy. Byli to przedstawiciele możnych, odziani w piękne futra i skórzane buty. Taringtonowi od razu rzuciło się w oczy to, że wszyscy byli Andarolneńczykami. Na ich czele stał starszy mężczyzna o długich siwych włosach uczesanych starannie i siwej brodzie.

– Wasza Lordowska Mość, cieszymy się z twojego powrotu – rzekł uroczyście.

– Jorenie, co możesz mi powiedzieć o bieżącej sytuacji w mieście? – zapytał lord Kylian.

– Cóż... Wasza Lordowska Mość, mury miasta są zniszczone, skutecznie pacyfikujemy niepodległościowe ruchy Sundarolneńczyków. Panuje susza i są problemy z żywnością – wymienił jednym tchem Joren.

– W takim razie mam dla ciebie zadanie. Zbierz strażników i znajdź jakiegokolwiek przedstawiciela tego ruchu oporu. Powiedz, że chcę z nim porozmawiać – rozkazał lord Tarington.

– Panie, chcesz rozmawiać z tymi ludźmi, którzy zabijają naszych w ciemnych uliczkach, palą spichlerze i przykładają rękę do najróżniejszych przestępstw? – zapytał z niedowierzaniem doradca.

– Dostałeś rozkaz, Jorenie – odpowiedział mu lekko poirytowany Kylian.

– Tak, panie. – Doradca skłonił się i wyszedł, nie wyglądając na zachwyconego.

– Są tu podobno elfy... czy to prawda? Chciałbym się z nimi zobaczyć – zwrócił się do reszty zgromadzonych lord Tarington.

– Tak, panie, jest wielu, i to znacznych, elfów w naszych rękach – odparł jeden z doradców i skinął głową na strażnika. Ten skierował się w lewo od tronu ku schodom w dół.

Kylian i Thalís poszli za nim. Strażnik był Andarolneńczykiem, w wieku podobnym do Kyliana. Miał na sobie kolczugę z tabardem i półhełm, tak jak większość strażników Liry.

– W lochach pod pałacem znajdują się ważni dowódcy elfów, którzy zarządzali kiedyś Lirą. To potężni magowie, dlatego pilnowani są przez naszych czarowników. Ogólnie jest ponad dwa tysiące Wysokich Elfów w Lirze, ale to raczej z tymi Wasza Lordowska Mość chce porozmawiać, prawda? – zapytał strażnik.

Thalís trochę uderzyło to, że jakiś strażnik ot tak, nieproszony, zaczyna rozmowę z lordem, nie czekając na pozwolenie. Jednakże lord Tarington nie zwrócił na to uwagi.

– Tak, z nimi się chcę spotkać – odpowiedział.

Mijali rzędy pustych cel. Ich jedyny kontakt ze światem stanowiły małe zakratowane okienka, przez które nawet nie wyciągnie się dłoni. Mrok rozpraszał nieznacznie blask pochodni. Powietrze było ciężkie i śmierdziało jakby śmiercią. Na końcu korytarza stało pięciu magów w niebieskich szatach, w towarzystwie dwóch dodatkowych strażników, pilnowali celi. Ukłonili się na widok zbliżającego się lorda. Nagle rozległ się płacz dziecka. Kylian nie spodziewał się usłyszeć go w takim miejscu. Rozejrzył się nerwowo. W nieco większej niż pozostałe celi zobaczył około dziesięciu skutych Wysokich Elfów, w tym kobietę z małym dzieckiem. Mieli małe posłania ze słomy rzucone na kamienną podłogę i pięć wiader. Wszyscy byli ubrani jedynie w płócienne tuniki. Ich srebrne skóry i włosy w najróżniejszych kolorach odcinały się wyraźnie w ciemnościach. Oczy świeciły niepokojącym blaskiem żółci i zieleni. Tarington spojrział z odrazą na wychudzone twarze więźniów i warunki, w których żyli.

– Dlaczego są tak ściśnięci w jednej celi? – zapytał.

– Mamy za mało magów, by pilnować każdego osobno – odpowiedział jeden z czarodziejów strażników.



– Weźcie tę kobietę, poszukajcie dla niej jakiejś komnaty w pałacu, póki nie znajdziemy alternatywy – polecił Kylian.

Strażnik, pobrzękując kluczami, otworzył cełę. Wszedł do środka i chwyciwszy elfkę za ramię, wyciągnął ją na korytarz. Jeden z elfów z agresją podbiegł do krat.

– Gdzie ją zabieracie? – zapytał. Miał długie włosy koloru wyschniętej trawy i żółte oczy. Jak większość elfów był szczupły, wysoki i miał wąskie ramiona.

– W lepsze miejsce, gdzieś, gdzie nie będzie musiała się załatwiać do wiadra i będzie mogła się umyć – odpowiedział mu lord, po czym dodał: – Ty też pójdziesz z nami. – I towarzyszący mu strażnik pochwycił więźnia za ramię. – Jak się nazywasz?

– Tommen.

Wrócili wraz z elfem z powrotem do sali audiencyjnej. Jednakże Kylian nie usiadł na tronie, stał z Tommenem twarzą w twarz.

– Rozkujcie go – polecił strażnikom.

– To chyba niezbyt rozsądne... Wiesz, panie, że jestem magiem – rzekł elf z pogardą.

– Jesteś tak wygłodzony, że nawet iskierek nie puścisz. Wiem co nieco o magii. Słuchaj, nie mogę was wypuścić... – oznajmił lord Tarington.

– Jestem twoim więźniem, dlaczego miałbyś to zrobić? – powiedział Tommen.

– Nie mogę was wypuścić, bo nawet jeśli to zrobię, to i tak nie przekroczycie granicy. Budują tam zamek, jest tam mnóstwo Andarolneńczyków. A jako więźniowie jesteście całkowicie bezużyteczni – stwierdził Kylian.

W międzyczasie do sali weszło kilku Sundarolneńczyków w towarzystwie Jorena i strażników miejskich.

– Nie interesuje cię praca na roli, chcesz naszej wiedzy i magii, ale nie przekazemy jej Andarolneńczykom, jesteście naszymi wrogami – oznajmił elf.

Na to lord Tarington przemówił głośno:

– Nie Andarolneńczykom, a mieszkańcom Liry. Jeszcze dziś to nie będzie znaczyć to samo. Jeśli chcecie wyjść z tych lochów i stać się obywatelami Liry, musicie dać coś w zamian. Lira płonęła już zbyt wiele razy, dopilnuję, by ten był ostatni. Aby to osiągnąć, potrzebujemy naprawić mur. Wiem, że znacie zaklęcia bariery, które go umocnią. Poza tym potrzebujemy broni i musimy poradzić sobie z suszą. Do tego trzeba współpracy. – Przeszedł się po sali i spojrzał teraz na Sundarolneńczyków. – Również waszej, potraficie naprawić mur? – zakończył pytaniem.

– Dlaczego mielibyśmy naprawić andarolneński mur? – odpowiedział Sundarolneńczyk w średnim wieku o ciemnych oczach i czarnych włosach. Ubrany w płócienny strój.

– Bo południowy jest cały, a to tam przecież znajduje się cesarstwo, północny służy do obrony przed Andarolnem, jest to wam również na rękę, prawda? – zapytał Kylian.

Sundarolneńczyk milczał.

– Zaufajcie mi, a ja zaufam wam – zaczął lord Tarington i zwrócił się ponownie do elfa: – Wiem, że nie podoba się wam taki styl życia, w Ithrandilu jesteście strażnikami balansu natury i życie w zgodzie z nią, ale nie macie innego domu ...

Andarolneńczycy obecni na sali zaczęli między sobą szeptać ze zgrozą.

– Jorenie, każ zebrać mieszkańców pod pałacem, mam przemówienie do ogłoszenia – rozkazał Kylian.

– Nie zapytał mnie, czy na to przystaję – powiedział Tommen do Thalisa.

– Uznaj to za okazanie szacunku wobec ciebie. Żaden andarolneński lord by wam tego nie zaoferował. Po prostu lord Tarington uznał cię za zbyt mądrego, byś odrzucił tę ofertę – odrzekł Thalís.

– Nie jesteśmy jakimiś Jesiennymi Elfami, by kierować się żądzą pieniędzy i władzy. – Oburzył się elf, jednak szybko się opanował, bo wiedział, że Kylian miał rację. Nie wróćą do królestwa elfów. A to, co lord chce stworzyć, może okazać się dobre.

Dwie godziny później nastąpiło południe. Lord Tarington stał na balkonie pałacu. Była to konstrukcja sundarolneńska. Pałace miały balkony, by można było z nich przemawiać do ludu. W dole pod murami zgromadziło się już mnóstwo ludzi. Czy rzeczywiście byli tu wszyscy mieszkańcy? Gdziekolwiek spojrzeł, uliczki wypełniał tłum.

– Drodzy mieszkańcy Liry – zaczął przemowę Kylian – jestem waszym nowym lordem, chcę w z związku z tym zapowiedzieć zmiany, które nadejdą. Dziś jest ważna data, za około rok wybieriecie sami nowego władcę Liry... – Rozległy się okrzyki i poklaskiwania. – Miasto bowiem od dnia dzisiejszego będzie nosiło nazwę Wolnego Miasta Lira, żadne Królestwo czy Andaroln, czy Ithrandil, czy Cesarstwo Sundarolnu, żadne z nich nie zapewniło wam bezpieczeństwa. Cierpieliście raz po raz kolejne oblężenia i okupacje. Jeżeli oni nie są w stanie zapewnić nam bezpieczeństwa, to musimy zrobić to sami, i aby to osiągnąć, trzeba ponad podziałami, takimi jak rasa czy pochodzenie, budować nasze miasto wspólnie. Wykorzystamy do tego wspólną wiedzę, na jaką nasza różnorodność nam pozwala. Przekujemy to w siłę. Potrzebujemy szkół, które będą uczyć młode pokolenia nie tylko pisać i czytać, ale nawet magii, bo tu w naszej Lirze o dostępie do magii i nauki nie będzie decydować status społeczny! Niech żyje wolna Lira! – krzyknął na koniec i uniósł pięść.

Tłum zamilkł. Ludzie rozglądali się po sobie. W końcu ktoś się wyłamał i również podniósł pięść ponad głowy zgromadzonych.

– Niech żyje wolna Lira! – krzyknął.

Zaczęły dołączać do niego kolejne pojedyncze głosy. W końcu tłum zaczął skandować:

– Niech żyje wolna Lira!

## ROZDZIAŁ III

# Zaprzysiężenie paladynów

**B**ył poranek na pięknej skalistej Wyspie Paladynów, bezchmurne niebo, słońce już wychyliło się z za horyzontu. Andor widział ze swojego małego okna w zamku kamienistą plażę, na której rozbijały się fale. Minął już rok, od kiedy zakończyła się wojna królestw Ithrandilu i Andarolnu. Młody andarolneński ksiązę marzył o wzięciu w niej udziału. Jednakże wówczas zastępca Wielkiego Mistrza Zakonu Ejrondu mu odmówił, twierdząc, że paladyn bez zakończonego szkolenia nie przyda się na froncie.

Andor był wysokim dwudziestoletnim mężczyzną o przystojnej twarzy, niskim czole, małym nosie, niebieskich oczach, pełnych ustach, szerokich ramionach i krótkich brązowych włosach. Z wyglądu prawdziwy ksiązę, o jakim marzyła każda dziewczyna. W tej chwili miał na sobie białą płócienną tunikę i czarne spodnie.

Szkolenie paladynów to nie pałacowe luksusy, chociaż mogli w nim brać udział wyłącznie andarolneńscy szlachcice, przyzwyczajeni do zbytku. Andor mieszkał w prostym kamiennym pokoju, w którym miał jedynie łóżko i szafkę. Naprzeciwko pod ścianą znajdowały się łóżko i szafka jego współlokatora. Teraz puste, bo Myrjon zginął podczas próby błyskawic. Był synem szlachcica z jednej ze wsi podległych Andlorowi. Tacy jednak muszą przez wiele lat służyć zakonowi, jeżeli przeżyją szkolenie, żeby odpracować naukę. W przypadku Andora było inaczej, był księciem.

Dziś zostanie paladynem i jeszcze tego popołudnia odpłynie do Willtrow, a stamtąd wyruszy do Lakeshire – stolicy Andarolnu, gdzie czeka na niego jego ojciec. W trakcie prawie dziesięciu lat nauki ćwiczył wspinaczkę nad przepaściami, jazdę konną, szermierkę, władanie kopią. Zdobywał też rozmałą wiedzę, jaką paladyni przekazują sobie od wieków. Nie byli oni zwykłymi wojownikami. Potrafilo wyczuwać wrogów na odległość, a nawet zmniejszać wagę przedmiotów. Byli w zasadzie magami ubranymi w zbroję.

Żadne szkolenie jednak nie było wystarczające, by przygotować uczniów na próbę błyskawic, która była ostatnim etapem nauki. Błyskawice to najtrudniejszy do opanowania spośród pięciu podstawowych żywiołów. Najtrudniejszy ze względu na swoje występowanie w naturze. Młodzi przyszli paladyni w trakcie ćwiczeń mieli do dyspozycji sztuczne błyskawice stworzone przez swoich nauczycieli. Pierwszy raz spotykali się z prawdziwymi błyskawicami w dziesiątym i ostatnim roku ich nauki właśnie podczas próby błyskawic. Ich zadanie polegało na opanowaniu błyskawicy, która występuje w naturze i jest znacznie potężniejsza od tych szkoleniowych. Dopiero gdy wyjdą cało z tej próby, mogą się nazywać paladynami.

Wielu, włącznie z Myrjonem, nie przeżyło tej próby. Prawdziwa błyskawica okazała się zbyt potężna i odebrała im życie. Andor jednak ją opanował. Spojrzał na swoją dłoń. Gdy tylko użył magii, przechodziły przez nią małe iskry błyskawic. Pamiętał ten dzień, tu na Wyspie Paladynów, w górach, nietrudno było o burzę.

Rozległy się dzwony zamku paladynów w Leiteir. Dziś odbędzie się zaprzysiężenie. Dziś młody książę oficjalnie zostanie paladynem. Pora się ubrać, a właściwie doposażyć. Zakładanie płytowej zbroi nie było łatwe, wprawdzie musiał jeszcze przyodziać kolczugę. W pełnym rynsztunku wyszedł z pokoju.

Przy drzwiach czekała na niego Tilren. Młoda, wysoka, dwudziestoletnia paladynka, o zgrabnej figurze, szerokich ramionach, długich blond włosach, pociągłej twarzy. Patrzyła na niego swoimi dużymi niebieskimi oczami. Była jego jedyną tutaj przyjaciółką. Tilren też przywdziała swoją zbroję, gotowa na zaprzysiężenie. Za każdym razem, gdy Andor ją widział, przypominał sobie płatnerza, który przeklinał dzień, kiedy zgodził się na wykucie zbroi dla kobiety, było to bowiem zadanie znacznie trudniejsze niż standardowy pancerz, a on dosadnie to podkreślał.

– Gotowy? – zapytała.

– Tak.

Andor nie miał tutaj żadnych przywilejów jako księżę. Mało tego, dla wielu nauczycieli był to dodatkowy powód, by mu dogryzać. Zakon jest o wiele starszy od andarolneńskiej monarchii. Tilren za to stała się obiektem kpin, ponieważ jest kobietą. Wielu nie dawało jej szans na ukończenie szkolenia. Jednak przetrwała próbę błyskawic. Została pierwszą w historii paladynką.

Szli kamiennym korytarzem, mijając rzędy drzwi do pokoi paladynów. Musieli przejść ze skrzydła mieszkalnego do części głównej zamku, gdzie mieściła się wielka sala, w której miała się odbyć ceremonia. Zeszli po schodach w dół i weszli na dziedzińiec. Zamek znajdował się na wzgórzu, a pod nim rozciągało się Leiteir. Kamienne mury były upstrzone maleńkimi oknami bez szyb, jedynie z drewnianymi okiennicami. Z takich okien łatwiej się bronić. Główny budynek był wielki, z drewnianym dachem przykrytym słomą. Gdyby w Leiteir urzędował lord, można by było to miejsce nazwać andarolneńskim pałacem. Przylegały do niego zabudowania stajni, zbrojownia, kuźnia i kantyna. Paladyni nigdy nie byli licznym zakonem. Zazwyczaj w ich szeregach było trochę ponad pięćset osób. Część szlachciców zawsze opuszczała zakon po ukończeniu szkolenia.



Wrota do wielkiej sali były otwarte. Andor i Tilren weszli do środka. Za nimi inni. Na miejscu zebrało już się kilkunastu młodych paladynów. Wystrój sali w zasadzie nie różnił się od reszty pomieszczeń w zamku. Był surowy i pozbawiony ozdób. Na drugim jej końcu, naprzeciwko wejścia znajdowała się drewniana platforma, na której stało teraz pięciu paladynów, mając za plecami sztandar z białą błyskawicą w kole na niebieskim tle.

Pośrodku przy mównicy stał Wielki Mistrz Zakonu Thelarix, patrząc na zgromadzonych surowo swoimi niebieskimi oczami. Po jego bokach miejsca zajęli paladyni-nauczyciele. Andor spojrział na Ejronda po lewej. Łysy mężczyzna w średnim wieku, o wiecznie szyderczym spojrzeniu, prowadził zajęcia z szermierki. On i Tilren mieli z nim ciężko. Młody książę był przez niego nazywany „Książunem”. A wobec młodej wojowniczkii Ejrond nigdy się nie hamował, by mówić, że kobiety nie nadają się do zakonu paladynów.

W pewnej chwili wrota do sali zostały zamknięte i szmery rozmów ucichły. Thelarix przemówił:

– Moi drodzy młodzi rekruci, dziś jest wielki dzień w waszym życiu, dziś złożycie przysięgę paladynów, dziś część z was nas opuści, pamiętajcie jednak, że z wielką mocą wiąże się wielka odpowiedzialność. Jako paladyni służycie naszemu Królestwu, tu w zakonie bądź w kraju, gdziekolwiek wyruszyście. – Zamilkł na chwilę i potoczył surowym wzrokiem po twarzach młodych ludzi. – A zatem powtarzajcie za mną: „Uroczycie przysięgam...” – zaczął, a zgromadzeni uczniowie, przyłożywszy pięści do piersi, podchwycili uroczycie jego słowa. – „W swych poczynaniach kierować się miłością do naszego boga Anedothona i wyznawać jego ideały honoru, sprawiedliwości, miłości, dobra i bezwzględności poszanowania ludzkiego życia. Ktoś, kto kieruje się okrucieństwem i nienawiścią, nie może się nazywać paladynem. Będę tarczą chroniącą mój Andaroln i jego mieszkańców oraz mieczem

wymierzającym sprawiedliwość jego wrogom, przysięgam” – skończył Thelarix, a wraz z nim młodzi paladyni. Na twarzach wszystkich pojawił się uśmiech.

Kilka godzin później Andor wyjechał wraz z Tilren z zamku. Kopyta ich opancerzonych koni stukwały o bruk, kiedy mijali drewniane andarolneńskie chaty w drodze ku portowi. Z góry widzieli morze, rozciągające się po horyzont, rozświetlone przez słońce.

– Piękny widok – rzekł księżę w zachwycie do przyjaciółki.

– W rzeczy samej, mój ojciec zawsze lubił ze mną przesiadywać w takie południa jak to. Musiał być bardzo samotny – odpowiedziała.

Jej ojciec lord Kathos, pan Northdale, był już mocno posunięty w latach. Nie udało mu się splodzić syna, więc na szkolenie paladynów wysłał swoją jedyną córkę. Był przyjacielem Thelarixa, to ułatwiło przyjęcie Tilren.

– Wrócisz do Lakeshire i przyjdzie ci szukać żony, co? – zapytała jakby mimochodem. Wiązała z tym pytaniem pewne nadzieje. Przebywała długo w towarzystwie mężczyzn, na tyle długo, by zrozumieć, że z nich wszystkich młody księżę był najbardziej miły jej sercu.

– Cóż... chyba tak – odpowiedział i radośnie się uśmiechnął, nie wyczuwając intencji Tilren.

Dotarli do portu. Czekał tam na nich statek z podwójnymi żaglami, na których widniała biała błyskawica w kole. Wsiadli na pokład i niedługo po tym odpłynęli.